



Fot. T. Bukowski

Najpierw jedną pałką, potem drugą, a później to już same pałki wybijają bum-ta-ra-ta-ta, bum-ta-ra-ta-ta...

PRZYGODA ŻEGLARSKA

Jest ich czterech: Bolek, Michał, Janek i Zygmunt. Przyszli marynarze — jak nazywają ich na kolonii — już w czasie roku szkolnego ukończyli kurs żeglarski, a teraz chcą wykorzystać wakacje na wybrzeżu. Dwa razy tygodniowo instruktor z Ośrodka Morskiego odbywa z nimi ćwiczenia na żaglówce.

I oto właśnie dziś mają wypłynąć. Instruktor rozgląda się po niebie i po łagodnie falującym morzu, sprawdza barometr. Patrzą na niego błagalnie.

— No, dobrze — mówi wreszcie.
— Spróbujemy!
Wypłynęli.

Jest szósta po południu. Od przystani dzieli ich już około 2 mil morskich, to jest przeszło trzy i pół kilometra. Wiatr staje się porywisty i coraz silniejszy.

— Wracamy! — rzuca komendę instruktor i dodaje, nieco zaniepokojony: — szkoda jednak, że nie wzięliśmy pasów korkowych.

Przy sterze siada teraz Zygmunt. Morze kołysze łodzią coraz silniej. Wtem — Zygmunt sam nie wie, jak to się stało — nagły podmuch wiatru wyrwał mu linkę, szarpnął żaglem ku górze, przechylił łódź.

Wszyscy znaleźli się w wodzie. Przewrócona żaglówka unosiła się na powierzchni.

— Uczyć się łodzi!

Dopływają do niej kolejno:

Janek, Zygmunt, instruktor, Bolek. Ale gdy jeszcze Michał chwyta za brzeg żaglówki, łódź zanurza się pod wodę. Wszystkich nie utrzyma. Odpoczywać może najwyżej czterech na raz. Piąty płynie obok, czekając, aż mu któryś z kolegów ustąpi swego miejsca. Zmieniają się kolejno.

A tu jak na złość instruktora chwycił skurcz w nodze. Nie może już ani na moment oderwać się od szalupy.

Trudno przewidzieć, kiedy nadejdzie pomoc. Może przypadkiem przejedzie tędy żaglówka albo kuter rybacki? A może dopiero za parę godzin z przystani wyślą łódź ratunkową? Wówczas jednak zapadnie już noc, a w nocy znaleźć kogoś na morzu jest bardzo trudno.

Zygmunta gnębi myśl, że to wszystko z jego winy. Nikt nie robi mu wyrzutów, ale — powinien był bardziej uważać! Spowodował wypadek, więc musi teraz znaleźć jakąś radę.



Jest najsilniejszy i najstarszy z chłopców, ma już szesnaście lat, i najlepiej pływa.

Koledzy powstrzymują go, nie daje się jednak przekonać. Nawet gdyby płynął bardzo wolno, na pewno przed nocą dotrze do brzegu i sprostadi pomoc. Ale płynąć nie łatwo. Zygmunt to unosi się ku górze, to razem z falą leci gdzieś w dół. Patrząc jednak za siebie widzi, że odala się od przewróconej łodzi.

Za to z przodu ukazał się jakiś przedmiot podskakujący na fali.

Boja?

Tak, boja, duża „beczka”, która ostrzega statki, że w pobliżu jest mielizna. Tę boję mijali kilkanaście minut przed wypadkiem! To znaczy, że Zygmunt nie płynie szybko, nie przybliży się do lądu, a tylko woda unosi coraz dalej przewróconą szalupę i dlatego chłopiec traci ją z oczu.

Co teraz będzie?

Jest sam, sam jeden wśród zimnego, wzburzonego morza. Od lądu

dzieli go jeszcze wiele godzin. Nie dopłynie. Już ledwo porusza nogami.

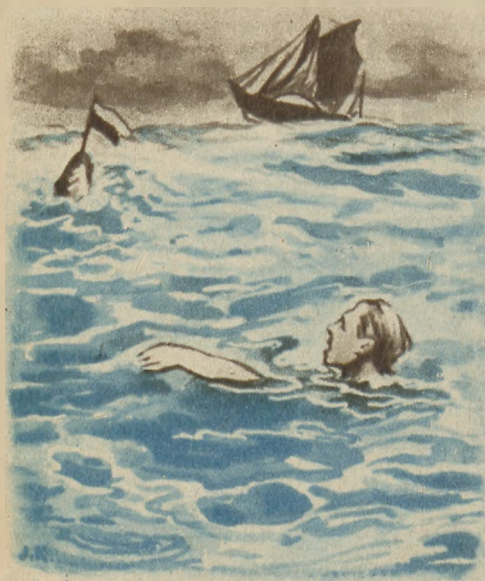
„Muszę dotrzeć do boi — myśli — tam odpocznę!”

Teraz dopiero widzi, jak wolno się posuwa. Boja tańczy przed nim na falach prawie wciąż w tej samej odległości.

Nagle na jednym z grzbietów fal pojawia się łódź. Widać ją wyraźnie, potem niknie, aby za chwilę wyskoczyć w górę na sąsiedniej fali. To kuter. Płynie niezbyt szybko, ale jednak stale naprzód. Zbliża się do boi. O, błysnęło światło! Zygmunt wie już: ludzie z kutra zapalili na boi latarnię, aby nocą widać ją było ze statków. Zaraz kuter ruszy dalej. Ahy tylko przepływał blisko niego!

Blisko? Oczywiście, że blisko! Mija go w odległości nie większej niż 50 metrów. Choć jednak Zyg-





munt krzyczy, jak może najgłośniej, głos jego zagłuszają fale i warkot motoru.

A ludzie na kutrze są zbyt zajęci własną pracą, by rozglądać się po morzu. Nie zauważyli go.

Kuter oddala się i Zygmunt traci ostatnią iskrę nadziei.

Dosyć szybko dopłynął teraz do boi. Chwyta się jej obydwoma rękami. Jak to dobrze móc nareszcie przestać borykać się z falą! Światło boi błyszczy nad jego głową. Ach, czemuż nie dopłynął tu trochę wcześniej!

Wtem nowa myśl przyszła mu do głowy: zgasi latarkę. To jedno jeszcze zdoła go ocalić.

Już wyciągnął rękę, ale cofnął po chwili namysłu.

„Nie mogę zgasić światła, gdyż naraziłbym na niebezpieczeństwo przepływające tędy statki”.

Zgasić nie może, ale może zasłonić. Z największym wysiłkiem Zygmunt wspina się na boję. Tak, teraz

dobrze. Jeśli marynarze z kutra spojrzą w tę stronę, będzie im się wydawało, że światło zgasło. Ale czy spojrzą? I czy wrócą, aby je po wtórnie zapalić?

Wracają! Łódź zaczyna rosnąć, staje się coraz wyraźniejsza. Płyną!

„Jesteśmy uratowani!” — myśli Zygmunt.

Na kutrze panuje poruszenie. Słychać komendę: „Człowiek za burzą!” Ktoś rzuca koło ratunkowe na linie.

Zygmunt jest tak wyczerpany, że gdy wyciągają go z wody, przez kilka minut nie może wymówić ani słowa. Szczeka zębami z zimna, a całym ciałem wstrząsają dreszcze. Zbyt długo walczył ze wzburzonymi falami.

— Żaglówka się przewróciła! — wykrztusił. — Tam są jeszcze moi koledzy. Ratujcie ich!

Kuter zawraca na miejscu i rusza na pomoc rozbitkom.

— No, chłopcy — mówi w tydzień później instruktor, wyjeżdżając z chłopcami na następne ćwiczenia — zdaliście egzamin. Zuchy jesteście wszyscy, szczególnie Zygmunt.

— Niech żyje Zygmunt, nasz mistrz pływacki! — wołają koledzy.

Zygmunt śmieje się wesoło:

— Wasz mistrz pływacki nie zapomni nigdy zabrać ze sobą pasa ratunkowego, wyruszając na morze.

— Słusznie! — woła Bolek. — „Parasol noś i przy pogodzie”.

SZARADA

(Latem, gdy deszcz pada, można urozmaicić kolonijne życie inscenizowaniem i odgadywaniem szarad.

Wybieramy więc jakieś słowo czy zdanie, dzielimy je na części i każdą „ukrywamy” w wierszyku, piosence czy dialogu tak jednak, żeby ją przez częste powtarzanie wyraźnie wyróżnić.

Słuchacze odgadują poszczególne części i łączą w całość.

Nim zaczniecie inscenizować szarady własnego pomysłu, spróbujcie odgadnąć tę, którą tu podajemy w formie już gotowej do inscenizacji).

Stach-zapowiadacz

Zaczynamy szaradę!

Niech zgadnie, kto da radę!

Początek szarady kryje się w wierszu, który powiedzą teraz Zosia, Ewa i Krysia, a który ma tytuł: „Państwowy Ośrodek Maszynowy”.

I

Zosia

Gdzie puste stały szopy

. Ewa

i rozwalony dom —

Wszystkie trzy razem

tam ręce robotnicze
wzniosły dziś piękny...

Krysia

POM.

Ewa

I zaniósł wieść radosną
wiatr okolicznym wsiom:

Wszystkie trzy razem

że, orka, siew czy żniwa,
maszyny przyśle...

Zosia

POM.

Krysia

Ruszyło niebem słońce —
hej, ku szczęśliwym dniom!

Razem

Warkotem maszyn śpiewa
pieśń dożynkową...

Ewa

POM.

*

Stach-zapowiadacz

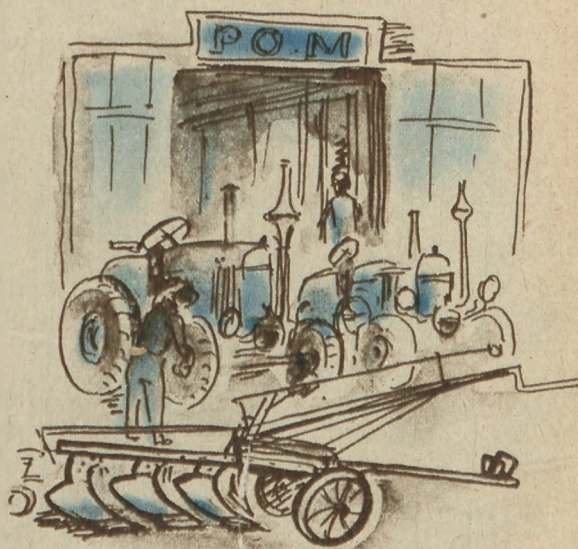
Na pewno wszyscy już odgadli, co ukryliśmy w tym wierszyku. Proszę tego jednak głośno nie mówić. Każdy zachowa to, co odgadł, w najgłębszej tajemnicy — aż do zakończenia szarady. A potem porównamy wyniki.

Następnej części szarady szukajmy w kołysance, którą zaśpiewa chór.

II

Śpiew

Ciemna nocka idzie już —
aaa... aaa...



zasypiają krzaki róż —
aaaaa...

Już uśpiła łąki, las —
aaa... aaa...
już i ptakom zasnąć czas —
aaaaa...

Zasnął zając, zasnął jeź —
aaa... aaa...
i w łóżeczkach dzieci też —
aaaaa...

Stach-zapowiadacz

I tu nie trudno było odgadnąć, że chodzi o... ale prawda, to tajemnica.

A teraz Edek popisywać się będzie grą na organkach (może być oczywiście inny instrument).

III

Edek

(gra gamy)

Zosia

Ojej! Zagrałbyś jakąś piosenkę. Znudzili mi się już te gamy. Ciągłe

gamy i gamy (*Śpiewa*). Do, re, mi, fa, sol, la, si, do...

Edek

Chcesz zostać dobrym muzykiem, graj gamy!

Zosia

Wiem, wiem. Ale gamy możesz sobie ćwiczyć w szkole muzycznej. A tutaj zagraj piosenkę!

Edek

Zagram, zagram, ale za chwilę. Bo teraz... do szarady potrzebne są właśnie gamy!

Stach-zapowiadacz

Pierwsze słowo zakończone. A teraz drugie. Będziemy go szukać w krótkiej scence z życia kolonijnego.

IV

Krysia

(trzymając książkę w ręku, uczy się)

Ewa

(wchodzi)

Czytasz, co? Zostaw to! Wzięłam skakankę, poskaczemy przez sznurki.

Krysia

Doskonale. Najpierw jednak powtórzę jeszcze trochę gramatyki.

Ewa

Uczysz się? Ojej! Po co? Nie masz przecież ani jednej dwójki.

Krysia

Ale chorowałam w ciągu roku szkolnego, musiałam potem was gonić i gramatyki uczyłam się pośpiesznie. Mogłabym zapomnieć przez lato, a chciałabym w nadchodzącym roku szkolnym zdobyć piątkę!



Ewa

Chcesz, to cię przesłucham? Od-
mień mi np.: „wieś”.

Krysia

Mianownik: Kto, co? — wieś

Dopelniacz: Kogo, czego? — wsi

Celownik: Komu czemu? — wsi

Biernik: Kogo, co? — wieś

Wołacz: O! — wsi!

Narzędnik: Kim, czym? — wsią

Miejscownik: O kim, o czym? —
o wsi.

Ewa

Tak samo mówisz: ze wsi, do wsi,
na wsi.

Krysia

To łatwa odmiana. Najczęściej
powtarza się forma „wsi”.

Stach-zapowiadacz

Ot, i koniec szarady. Całość bę-
dziecie mogli znaleźć w wierszyku,
który usłyszycie za chwilę. Służy on
do sprawdzenia, czy nasze dotych-
czasowe domysły były słuszne.

V

Janek

Kto nas żywi?

Gromadka dzieci

Wieś — to jasne!

Dzieci pojedynczo, kolejno
wyliczają:

Stąd chleb,

mięso,

kopy jaj,

ser,

jarzyny,

mleko,

masło —

Dzieci chórem

całą żywność stąd ma kraj!



Janek

Trud to wielki: wszystkich żywić
przez rok cały — tyle dni...
Więc, dzieciaki, dalej żywo!

Dzieci chórem

Pomagamy wsi!

Janek

Niszczyć chwasty, wiązać snopy —
Kto się zgłasza?

Dzieci

My! My! My!

Janek

Więc, drużyna, dalej żywo!

Dzieci

Pomagamy wsi!

Na zakończenie dzieci mogą usta-
wić się w żywy obraz: jedne grabią
siano, inne wiążą snopy itp.

Rozwiązanie: I — Pom; II-a;
III — gamy; IV — wsi; V — całość:
„Pomagamy wsi”.

Rys. H. Sołtan

M. Rosińska



Kolonijna nasza szkoła
to powietrze, woda, las.
Profesorów jest w niej wielu.
Oj, wesół ćwiczeń czas!

Żabki uczą nas pływania,
lekcje śpiewu daje ptak,
a do biegów z przeszkodami
zajac wzywa wnet na start.

Pan inspektor — słońce złote —
patrzy bystro tu i tam;
rumieńcami na buziakach
swe oceny pisze nam:

Z pływania — bardzo dobrze.
Z biegania — bardzo dobrze.
Ze śpiewu — bardzo dobrze.
Ho, ho, ho, ho, ho!



KOLONIJNA



SZKOŁA

W planie lekcji mamy co dzień
Ważny przedmiot: pomoc wsi.
Wyruszamy więc na pole,
a piosenka rażno brzmi.

Niszczyć chwasty, zbierać kłosa,
gdy już zżęty zboża łan,
albo z lasu dla żniwiarzy
przynieść jagód pełny dzban.

Pan inspektor — słońce złote —
patrzy bystro tu i tam;
rumieńcami na buziakach
swe oceny pisze nam:

Bój z chwastami — bardzo dobrze.
Zbiór kłosów — bardzo dobrze.
Zbiór jagód — bardzo dobrze.
Ho, ho, ho, ho, ho!



Rys. Z. Plotrowski

„Franek” i Hania

Feliks Dzierżyński w czasie swojej działalności rewolucyjnej, jaką od lat najmłodszych prowadził, musiał się ukrywać, by nie wpaść w łapy żandarmów carskich. Dlatego często zmieniał pseudonim. W Warszawie znany był wśród robotników pod imieniem „Franek”. Często zmieniał miejsce pobytu. Mieszkał przeważnie wśród swych towarzyszy robotników. Wszędzie, gdzie się zjawiał, zjednywał sobie przyjaciół. Wśród najgorętszej pracy znajdował czas na rozmowy z robotnikami i dziećmi. Ale o tym dowiecie się już z opowiadania.

W maleńkiej, czyściutkiej izdebce na plecionym z trzciny łóżeczku jasnowłosa dziewczynka, ukrywszy twarz w poduszkę, zanosila się gwałtownym kaszlem.

Franek podbiegł szybko do łóżeczka i palcami ścisnął lekko skronie dziewczynki. Ruchem głowy wskazał Pawelkowi wiadro i kubek. Pawelek zrozumiał, o co chodzi, i przyniósł wodę.

— Wypij troszeczkę — powiedział miękko, troskliwie Franek uśmiechając się do dziewczynki.

Kaszel uspokoił się stopniowo. Hania przełknęła kilka kropli wody i spojrzała z wdzięcznością na nieznajomego.

— Mamusia też tak mnie ścisła za głowę, gdy kaszlę, to mi trochę lżej. Ktoś ty?

— Chcesz, to będę twoim wujkiem, dobrze?

— Wujkiem? A czy ty nie jesteś obcy? — orzechowe oczy Hani spojrzały uważnie i podejrzliwie.

— A czy wyglądam na obcego? Przyjrzyj się tylko — w uśmiechu Franka było tyle ciepła i serdeczności, że blade wargi dziewczynki zadrzęły, gdy odpowiedziała:

— Tak, ty nie możesz być obcy. A jak ci na imię?

— Franek.

— To dobrze. Mój tatuś też był Franek. Ale umarł. Heniek też umarł, niedawno — spod powiek spłynęły dwie ciężkie łzy. Buzia, przed chwilą czerwona od kaszlu, zbladła przybierając barwę przejrzystej porcelany.

— A gdzie twoja mamusia? — szybko zapytał wujek Franek. — Kiedy wróci? A może zabawimy się w jakąś wesołą grę? Znasz: koci, koci łapki?



Hania paluszką otarła zapłakane oczy i powiedziała poważnie:

— Mamusia poszła odnieść hafty pani inżynierowej. Potem ma kupić mleka i przyjdzie. Kaszkę na mleku ugotuje i dobrze osłodzi. Tak obiecała. A ja wolę zagrać w kokoszkę. Znasz?

— Dobrze, zagramy. A ty, Pawełku, skocz no po ślazowe cukierki, żeby nas kaszel nie męczył. — Franek sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę miedziaków.

Zabawa prędko znużyła dziewczynkę.

— Widzisz, nie mam siły — powiedziała cichutko. — Opowiedz mi lepiej jakąś bajkę. Tak lubię bajki, a mamusia umie tylko o Jasiu i Małgosi, a ja bym chciała inną.

— Dobrze, posłuchaj:

„Był raz jeden chłopczyk, Andrzejek się nazywał, sierota, nie miał ani ojca, ani mamusi. Miał tylko malutką siostrzyczkę, którą się opiekował, śliczną, złotowłosą. Buźka jej była świeża i miała takie kolory, jak maliny leśne. Dlatego nazywali ją wszyscy Malinką”.

— A co to są maliny?

— To takie czerwone i słodkie jagody, rosną na krzakach.

— Aha! Nie widziałam nigdy. W lesie rosną?

— Mogą rosnąć w lesie, rosną też w ogrodach.

— Mów dalej o tej Malince.

„Mieli oni niedobrego, bogatego sąsiada, który postanowił zagarnąć



chatkę dzieci, ich ogródek i kawałek pola...”

— Są tacy, co cudze zabierają — mruknęła Hania.

.... a dzieci zabrać do siebie niby to pod opiekę, a w rzeczywistości, żeby zmusić je do ciężkiej pracy — mówił dalej Franek, uważnie spojrzawszy na dziewczynkę. — Zaczęły się dla dzieci straszne dni. Biedny Andrzejek musiał siać, orać, pracować jak dorosły mężczyzna, chociaż miał dopiero trzynaście lat, a malutka Malinka, choć miała pięć lat, musiała gęsi paść, wodę nosić, sprzątać. I z tej ciężkiej pracy Malinka zachorowała. Już nikt nie nazywał jej Malinką, była mizerniutka i blada, aż litowały się nad nią ptaszki, które zaglądały przez szpary do obórki, gdzie leżała Malinka, i bury pies owczarek, i szare, ciekawe wróbelki, i białe gołąbki. Malinka też strasznie kochała zwierzęta.

Andrzejek ręce łamał z rozpaczy. Aż raz, gdy wracał z pola, zaćwierkał do niego stary, jednooki wróbel, co zawsze siedział na lipie przed stodolą:

»Andrzejku, Andrzejku, śpiesz do lasu za siódmą górę, za siódmą rzekę, na skałę wysoką, tam znajdziesz wodę życia, która uzdrowi Malinkę«.

Podziękował Andrzejek mądrymu ptaszkowi, wziął kromkę chleba, kij i poszedł do lasu. Szedł, szedł długo, zmęczył się, usiadł pod drzewem, wyjął swój chlebek, aż tu nagle zjawia się staruszka i mówi prosząco:

»Taka głodna jestem, daj coś do zjedzenia«.

(dcn.)

Rys. K. M. Sopoćko

H. Rudnicka



Po obiedzie zebrały się dzieci z kolonii, żeby omówić, jak udekorować świetlicę. Przecież za kilka dni spodziewają się gości z sąsiedniej kolonii, a tu jeszcze nic nie zrobione.

Projekty posypały się jak z rękawa. Antek i Baśka zrobią wycinanki ludowe, Kazik z Jędrkiem wymalują gazetkę... Zaraz, zaraz, tylko co będzie w gazetce?

— No, pewnie, że wyrysujemy i opiszemy naszą kolonię — odezwał się Jacek.

— Ale zróbmy jeszcze jedną gazetkę — powiedział za chwilę Antek — taką o dzieciach z całego

świata. O, tu, po jednej stronie opiszemy, jak żyją.

— To bardzo dobry pomysł — podchwycił wychowawca. — Ja wam pomogę zrobić gazetkę. Tylko musimy w niej koniecznie napisać też coś o festiwalu, który się odbędzie za kilka tygodni w Berlinie. Przecież tam się zjedzie przeszło 25 tysięcy młodzieży z całego świata. A pionierzy będą nawet mieli niedaleko Berlina swoje miasteczko.

— Panie wychowawco, a za co te dzieci pojadą do Berlina? Skąd one wezmą na to pieniądze? Przecież to bardzo kosztowna podróż — zapytał Wojtek.

— A widzicie, o tym wam też chciałem powiedzieć. Pieniądze na ten cel daje młodzieży państwo. Ale tylko w tych krajach, w których młodzież jest otaczana wielką opieką, jak na przykład w Polsce. Zaś w krajach kapitalistycznych jest inaczej. Tam rządy nie dbają o młodzież. I nie dadzą jej także pieniędzy na wyjazd do Berlina.

— Proszę pana, to w Berlinie nie będzie Malajczyków ani Afrykańczyków, nie będzie dzieci francuskich? — zaniepokoiły się dzieci.

— Będą. Na pewno będą. Możecie się uspokoić. W tym celu stworzony został Fundusz Solidarności. Zebrane pieniądze przeznaczone będą właśnie na pokrycie kosztów podróży do Berlina młodzieży z krajów kapitalistycznych.

— Wiecie co?! — wykrzyknął niespodziewanie mały, kędzierzawy Staszek. — Będziemy zbierać ziola. Jak to się robi, czytaliśmy przecież wszyscy w „Płomyczku”. Za 10 kg kwiatów rumianku albo za 8 kg



kwiatów blawatka można dostać aż 300 zł. To dużo pieniędzy!

Zawrzało w dziecięcej gromadce.

— A kiedy pójdziemy zbierać?

— A czy wszyscy pójdziemy?

— A czy dostaniemy koszyki do zbierania?

— Dziś ani jutro nie pójdziemy jeszcze zbierać. Najpierw udekorujemy świetlicę. A jak przyjadą do nas goście z tej sąsiedniej kolonii, wtedy razem pójdziemy na łąkę. Jak nas będzie więcej, to i więcej zbieramy.

Rys. H. Przeździecka

M. Zim

Nasze Gry i Zabawy

Odszukaj i kopnij piłkę

Dzieci, biorące udział w zabawie, chwytają się za ręce i tworzą koło. W środku koła zostaje jedno dziecko, któremu zawiązujemy oczy. Następnie kładziemy piłkę do koła w odległości paru metrów. Gracz mający zawiązane oczy powinien odnaleźć i kopnąć piłkę. Dla łatwiejszego wyszukania piłki dzieci tworzące koło wymawiają głośno „dobrze”, jeżeli gracz idzie w kierunku piłki, „źle”, jeżeli oddala się od piłki. Każdy gracz ma odszukać i kopnąć piłkę w ciągu 2 minut. Po tym czasie do koła idzie następny. Jeżeli graczowi, znajdującemu się w środku koła, uda się kopnąć piłkę, liczymy mu 1 punkt, jeżeli nie, liczymy jeden punkt karny.



Bieg łańcuchowy

Rysujemy dwie równoległe linie oddalone od siebie o 25 metrów. Jedną z nich jest linią startową, a druga metą. Na linii startowej ustawiają się dzieci grające piątkami. Odległości pomiędzy jedną piątką wynoszą pięć kroków. Na sygnał gwizdkiem piątka chwyta się za dłonie i biegnie do mety. Tam dzieci z piątki puszczaają dłonie, robią w tył zwrot i chwytają się rękoma pod łokcie. Następnie już bez gwizdka biegną z powrotem do linii startu. Podczas biegu nie wolno rozplatać rąk i rozłączać się. Wygrywa ta grupa, która pierwsza przybiegła z powrotem do mety i nie rozłączyła rąk.

Z. K.





DZIECI

Pisza

go człowieka, który nie podpisałby Apelu Pokoju.

Na tym kończę mój list i pozdrawiam Cię serdecznie.

Radostowice, dn. 28. V. 1951 r.

Stefan Frydrych, kl. V
Radostowice

Kochany „Płomyczku”!

Chcę Ci napisać o Narodowym Plebiscycie Pokoju w naszej wsi i w naszej szkole.

W czasie dwu tygodni poprzedzających dzień 17 maja przygotowywaliśmy się do Plebiscytu. Dzieci pisały różne ulotki, afisze, tłumaczyły starszym, rodzicom — znaczenie Plebiscytu, rysowały gołębki, dekorowały szkołę, brały udział w masówkach i słuchały radia. W dniu 17 maja głosowała klasa VI i VII w ładnie ustrojonym lokalu plebiscytowym, którym była kancelaria naszej szkoły. 20 maja starsi odnosili kartki plebiscytowe, było to od godz. 8 rano do 6 wieczór. Ludzie szli do szkoły i odnosili kartki plebiscytowe, rano mniej ludzi przynosiło kartki plebiscytowe, a po południu szło bardzo dużo ludzi. Głosowanie szło bardzo sprawnie. Kartki plebiscytowe odbierał Gromadzki Komitet Obróńców Pokoju. Do godziny 4 było już 92% głosujących, a wieczorem nasza wieś głosowała w 100%. W naszej wiosce nie było żadne-

Chlewnia, dnia 5. VI. 1951 r.

Kochana Redakcjo „Płomyczka”!

My też pracujemy dla naszej kochanej Polski. Wyrwamy osty z korzeniami. Dyżurny albo pani zapisuje codziennie, ile kto wyrwał, ale my pilnujemy, żeby dobrze policzyli, i nie darujemy ani jednego przy obliczaniu.

W zeszłym roku wyrwaliśmy 128 tysięcy sztuk ostów. W tym roku wyrwaliśmy już 107 tysięcy ostów.

Prosimy, żeby kto przyjechał z aparatem fotograficznym, jak inne szkoły to zobaczą, to może też będą niszczyły ten szkodliwy chwast. Mamy dużo ciekawych rzeczy do opowiadania, ale jak kto do nas przyjedzie, to opowiemy. Jedzie się do nas: Grodzisk Mazowiecki, a od stacji do nas 8¹/₂ km.

Bardzo zapraszamy kochaną Redakcję i pozdrawiamy.

Dzieci szkolne w Chlewni

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata i kolportaż: Oddział P. P. K. „Ruch” w Poznaniu, ul. Grunwaldzka 19. Prenumerata wynosi miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4.50. — Wpłaty na prenumeratę przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe i listonosze więcej w terminie do 20 każdego miesiąca na miesiąc (kwartał) następny. Konto P. K. O. V-8711 „Płomyczek”.

Wpłaty przekazane po 20 każdego miesiąca będą zaliczane nie od najbliższego pierwszego, a na następny miesiąc.

Egzemplarze z poprzednich miesięcy można zamawiać w P. P. K. „Ruch” opłacając z góry na zamieszczone powyżej konto z podaniem na przekazie tytułu czasopisma, ilości egzemplarzy i numerów.



ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

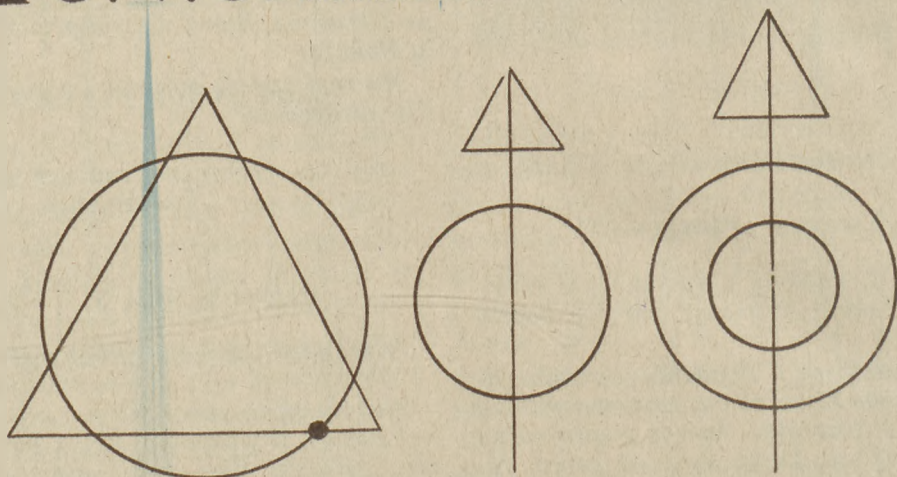
Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: K. M. SOPOČKO.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu — K-2-14207 — 2187/VI/51.

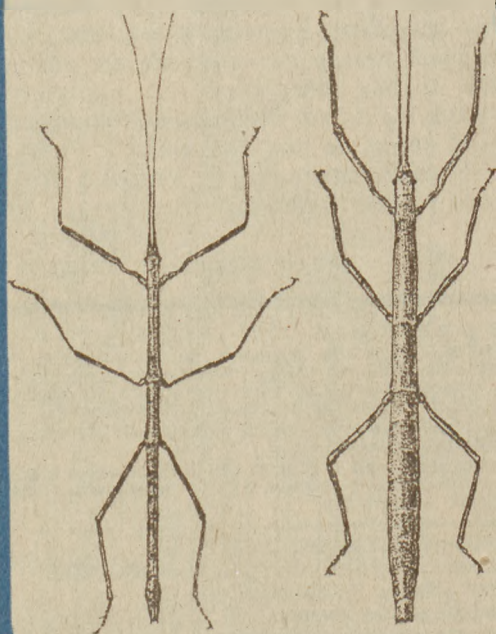
P ??? CHWILĘ OMYŚL ???



To nie znaki drogowe, tylko połączone ze sobą różne figury geometryczne. Są zupełnie proste — ale... spróbujcie je narysować na oddzielnej kartce papieru nie odrywając ołówka od papieru i nie rysując żadnego odcinka dwukrotnie.

A TO ciekawe

PATYCZAKI



Te patyczki, które tu widzicie, to są owady żyjące w południowej Europie, często hodowane u nas w gabinetach przyrodniczych. Są to bliscy krewni naszych polnych koników, choć wcale do nich na pierwszy rzut oka nie podobne. Nazywają się one patyczaki, bo rzeczywiście przypominają swym wyglądem patyki, szczególnie kiedy przestraszone ułożą nogi wzdłuż ciała i leżą sztywno i nieruchome. Żywią się listkami mniszka lekarskiego (dmuchawca), pietruszki i trzykrotki. Odżywiają się w nocy, w dzień siedzą zwykle nieruchomo.